ŚWIATŁO

Rok VIII. Bytom G.-Szl., 15-go Października 1894. Nr. 20.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

KSIĄŻĘ I ŻEBRAK.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

Edward jako król.

Miles Hendon wyglądał już dość malowniczo, nim się dostał w natłok pospólstwa na moście londyńskim; o wiele jednak w gorszym stanie była jego odzież, gdy się ztamtąd wydobył. Znikła także mała ilość pieniędzy, którą jeszcze był zachował. Złodzieje kieszonkowi obrabowali go zupełnie.

Nie wiele dbał o to, byle tylko swego ulubieńca mógł odszukać! Jako stary żołnierz nie chciał działać na oślep, lecz obmyśleć sobie plan pewny.

Co można przypuszczać, że chłopczyna pocznie z sobą? Dokąd zwróci się najpierwej? — zapytał siebie Miles. — Naturalny instynkt pociągnie go ku jakiemuś dawnemu schronieniu, u słabych na umyśle instynkt zastępuje rozum i rządzi nimi. Ale któż wie, gdzie stracony ulubieniec właściwie przebywał pierwej? Nędzne ubranie, w jakiem Hendon go spotkał, i powierzchowność hultaja, który zdawał się chłopca znać dawniej i jego ojcem się nazywał, okazywały wyraźnie, że młodzieniaszek pochodzić musiał z jednej z najgorszych i najbiedniejszych dzielnic Londynu. Lecz czy łatwem to będzie, czy możliwem odszukać go w jednej z takowych? Prawdopodobnie nie. Miles postanowił więc, że najlepiej będzie uważać pilnie na każde zbiegowisko ludowe, w którem z nich znajdzie się pewno, wcześniej lub później, biedny jego młody przyjaciel i będzie celem urągania i pośmiewiska pospólstwa, które tem silniej się wzmoże, im bardziej nieszczęśliwy będzie upewniał, że jest królem angielskim. W takim wypadku Miles Hendon byłby kilku nędzników roztrącił i obalił, ulubieńca swego wyprowadził z natłoku, pocieszył łagodzącemi słowy i obadwaj byliby już na zawsze połączeni.

Poszedł więc Miles na poszukiwanie. Godzinami błądził po rozmaitych ulicach, uliczkach i zaułkach, wszędzie zastawał skupione gromady ludu, ale chłopca wśród nich nie odkrył. Dziwiło go to, ale nie zniechęcało. Według jego zdania, powzięty plan wojenny był zupełnie dobry, choćby nawet wy-

prawa dłużej trwać miała, niż on zrazu myślał.

Gdy ranek zaświtał, już niejednę milę drogi zrobił Miles i niejedno widział zbiegowisko; lecz następstwem dotychczasowem było to tylko, iż czuł się ogromnie zmęczony, głodny i śpiący. Śniadanie ciepłe bardzo mu było pożądane; ale jakim sposobem przyjść do niego. Żebrać, to mu i na myśl nie przyszło, miecza swego nie zastawiłby, jak honoru nie naraził za nic w świecie. Bez części swoich sukien mógłby się obejść. Tak, ale któż kupi rzeczy poszarpane?

W południowej godzinie jeszcze był na nogach; znajdował się w pośród pospólstwa, które tłoczyło się za koronacyjnym pochodem. Myślał bowiem, iż to świetne widowisko musi koniecznie pociągnąć ku sobie biednego, obłąkanego jego ulubieńca. Szedł ciągle za pochodem przez Londyn do opactwa Westminster. Tu i owdzie zbaczał z prostej drogi, aby wcisnąć się głębiej w tłumy ludu, przejrzeć je dokładniej, wszystko jednak na próżno. Szedł zadumany dalej, zastanawiając się, co robić. Nie zważał, gdzie się udaje, w którą idzie stronę. Znużenie, senność, głód, wyczerpywały ostatecznie jego siły fizyczne i umysłowe. Spostrzegł się wreszcie, że wyszedł z miasta właściwego i że wieczór zapada. Znajdował się blizko rzeki, pomiędzy pięknemi mieszkaniami wiejskiemi; tu nikogo nie znajdzie, ktoby kupił jego stare suknie.

Na szczęście przynajmniej nie było zimno; usiadł na chwilę, by wypocząć pod jednym z parkanów i rozmyślał. Powoli zmęczenie wzięło nad nim górę. Słyszał jeszcze daleki odgłos strzałów.

— Król jest ukoronowany! — rzekł do siebie, potem zasnął. Od trzydziestu godzin nie spał wcale i nie spoczął. To też, gdy usnął, obudził się dopiero późno nazajutrz.

Zdrętwiały i zgłodzony, wstał, umył się w rzece, napił się trochę wody i poszedł drogą, wiodącą do Westminsteru. Idąc, łajał sam siebie, że tyle czasu stracił. Głód poddał mu nowe zamiary. Postanowił odszukać najpierw sir Humphreya Marlowa i u niego trochę pieniędzy pożyczyć. Gdyby mu się to udało, będzie w stanie dalej szukać utraconego.

Koło jedenastej godziny zbliżył się do pałacu, a chociaż dużo ludzi bogato przybranych szło tą samą drogą, on zwracał na siebie uwagę charakterystyczną postawą i twarzą. Sam przyglądał się pilnie różnym obliczom, chcąc wynaleść kogoś, aby zaniósł od niego wiadomość Humphreyowi; że bowiem jego samego, w obecnem odzieniu, nie wpuszczą do pałacu, to nie podpadało wątpliwości.

Nadszedł teraz właśnie znany nam niegdyś »chłopiec od bicia« księcia Walii; obrócił się i popatrzał uważnie na Milesa Hendona, mówiąc do siebie:

— Jeżeli to nie jest ten włóczęga, za którym Jego Królewska Mość niebo i ziemię porusza, to chyba jestem osłem, — wprawdzie już tak mnie i dawniej nazwano. To pewna, że cała powierzchowność tego człowieka zgadza się z opisem króla, jak dwie krople wody. Byłoby cudem, gdyby Bóg dwie takie postacie stworzył; a cuda rzadko się zdarzają. Gdybym tylko mógł znaleść jakiś powód przemówienia do niego.

Trud w wyszukaniu takowego był mu oszczędzony. Prawdopodobnie Miles Hendon uczuł magnetyczny wpływ długo na siebie zwróconych oczu, obejrzał się, przybliżył do młodego chłopca i zapytał:

— Wychodzisz pan z pałacu, należysz do dworu?

— Tak, panie.

— Czy znasz Humphreya Marlowa?

Chłopiec stanął zdziwiony. Na Boga, on się pyta o mego zmarłego ojca! — pomyślał, a potem dodał głośno:

— Tak, panie, znam go bardzo dobrze.

— To wybornie: czy jest on u siebie?

— Zapewne — była odpowiedź. — W grobie — dodał pytany w cichości.

— Czy mógłbym prosić pana, byś go w imieniu mojem zapytał, czy nie pomówiłby ze mną parę słów na osobności?

— Bardzo chętnie podejmę się polecenia, szlachetny panie.

— Chciej mu więc powiedzieć, że Miles Hendon, syn sir Richarda, jest tutaj. Będę ci za to, młodzieńcze, bardzo obowiązany.

Chłopiec słuchał trochę zawiedziony.

— Tak go król nie nazwał, — mówił w duszy — ale co mi to szkodzi? Pewno obadwaj są bracia bliźniacy i ten mógłby powiedzieć królowi, gdzie jest drugi obdartus. — Do Milesa zaś rzekł: — Proszę pana chwilę tu poczekać, wrócę zaraz.

Hendon postąpił ku wskazanemu miejscu: było to zagłębienie w murze pałacu, do którego w słotę straż się chroniła. Tam usiadł na kamiennej ławce. Lecz zaledwie to się stało, nadszedł oddział halebardzistów z oficerem na czele. Spostrzegł on Hendona, zatrzymał swoich ludzi i rozkazał Hendonowi, by wyszedł z zagłębienia. Usłuchał zaraz rozkazu, lecz oficer aresztował go jako podejrzaną osobistość, kręcącą się w koło pałacu. Napróżno usiłował biedny Miles mówić, tłumacząc się, oficer kazał mu milczeć, a żołnierzom odebrać mu broń i suknie jego przepatrzeć.

— Szukajcie — rzekł biedny Hendon. — Daj Boże, żebyście co znaleźli. Ja także szukałem dokładnie, lecz niestety, napróżno.

Jedyna rzecz, którą znaleźli, był złożony papier. Oficer otworzył go, a Hendon uśmiechnął się, poznawszy pismo swego straconego ulubieńca, które ten ostatni nakreślił był w owym dniu nieszczęśliwym w Hendon-Hall, pragnąc by zostało doręczone do rąk lorda Hertforda. Oficer czytając, co tam było napisane po angielsku, zmarszczył czoło, a Miles zbladł, gdy tamten wykrzyknął:

— Otóż mamy znowu pretendenta do tronu, prawdziwie, wyrastają jak grzyby po deszczu. Pilnujcie mi tu dobrze tego hultaja, — rzekł do żołnierzy — muszę ten cenny papier zanieść zaraz do pałacu, żeby go królowi doręczono.

Pospieszył; więzień został w rękach straży.

— No, teraz przynajmniej cała moja niedola prędko się skończy, — myślał Hendon — za ten kawałek papieru pobujam na stryczku. Ale co się stanie z biednym moim chłopakiem, to Bóg tylko wie.

Szybko wypadł oficer z pałacu i spieszył ku niemu. Hendon wyprostował się, chcąc po męzku znieść swój los. Oficer rozkazał straży puścić więźnia wolno i broń mu zwrócić. Gdy to nastąpiło, ukłonił się nizko naszemu przyjacielowi i prosił:

— Racz pan pójść ze mną.

Hendon szedł za nim, mówiąc w duszy do siebie:

— Oczywiście prowadzi mnie na śmierć; muszę więc powstrzymać się od niepotrzebnych grzechów. Inaczej, udusiłbym tego niegodziwca, którego grzeczność jest naigrawaniem się ze mnie.

Przez dziedziniec napełniony ludźmi szli do głównej bramy pałacu. Tam oficer, znowu z głębokiem ukłonem, oddał Hendona świetnie ubranemu urzędnikowi, który równie grzecznie go powitawszy, prowadził przez długi krużganek, pełen służby, ustępującej im z drogi z milczącem uszanowaniem, chociaż może po za plecami dusiła się od śmiechu nad obdartusem, nie odważając się jawnie zeń szydzić. Potem szli przez wspaniałe schody wraz z wielu ustrojonymi, widocznie znacznymi ludźmi, nareszcie przewodnik wprowadził go do obszernej sali, w której zgromadzona była wysoka szlachta angielska. Gdy już byli w pośród sali, przewodnik poprosił grzecznie osłupiałego Hendona, aby zdjął kapelusz z głowy i pożegnał go z uszanowaniem. Teraz został oddany bezbronnie na pociski szyderczych oczu i urągających mu uśmiechów.

Miles Hendon był tak zmięszany. iż prawie od przytomności odchodził, Wyżej, w głębi sali, stał pod baldachimem podniesiony na pięciu stopniach tron okazały; na nim siedział młody monarcha, który w tej chwili rozmawiał żywo, zwrócony do stojącego obok jednego z najznakomitszych lordów angielskich. — Hendon czuł i myślał, że

dość srogą było rzeczą skazywać go na śmierć w pełni męzkiej siły, że więc można było przynajmniej oszczędzić mu tego publicznego upokorzenia. Pragnął żeby król prędko skończył z nim sprawę; pierwej zdawało mu się, że z naigrawaniem patrzy nań to dostojne zgromadzenie, wśród którego się znajdował, teraz sądził, że nieprzyjaźnie, gniewnie spoglądają ku niemu. Wtem król obrócił tak głowę, że Hendon mógł dojrzeć wyraźnie jego twarz. Tchu mu zabrakło, jakby w natchnieniu patrzał na to młode, piękne oblicze, potem zawołał w pół głośno:

— Jakto, ty! Czyż prawdą jest, iż tu siedzi na tronie władzca z państwa snów i urojeń?

Jeszcze szepnął do siebie kilka niezrozumiałych, urwanych zdań, potem spojrzał przenikliwie w około. Przypatrywał się uważnie świetnemu zgromadzeniu, przepysznej sali: — Nie, — rzekł po cichu — to nie jest snem, to, co widzę, jest rzeczywistością.

Znowu wpatrzył się w króla i znowu zapytał siebie: — Czy ja śnię? Czy to podobna, aby prawowitym władzcą Anglii był biedny, opuszczony szaleniec, za jakiego go miałem? Kto mi tę zagadkę rozwiąże?

W tem zabłysnął mu pomysł. Podszedł ku ścianie, wziął krzesło, wyniósł je na środek sali i usiadł na niem.

Szmer gniewny podniósł się, ostro schwycono go za rękę, głos oburzony zawołał nań:

— Wstań zaraz, nieokrzesany chłopie! Jak śmiesz siadać w obecności króla?

Głośne to zajście zwróciło uwagę króla. Monarcha podniósł prawicę i zawołał:

— Nie dotykajcie go się! Jest on zupełnie w swojem prawie!

Tłum zdumiony ustąpił szybko. Król mówił dalej: — Dowiedźcie się wszyscy, lordowie i szlachetni panowie, że to jest mój wierny, ukochany sługa, Miles Hendon. On dzielnym swym orężem wybawił waszego króla od zniewag i obrazy cielesnej, może od śmierci. Za ten czyn król go uczynił rycerzem. Ale on swemu władzcy nieskończenie większą jeszcze oddał usługę, uratował go od chłosty i hańby, które dobrowolnie wziął na siebie. Za to podniosłem go do godności para Anglii i hrabi Kentu i otrzyma on dość ziemi i złota, aby żył odpowiednio swemu dostojeństwu. Prawo, którego właśnie użył, także otrzymał od korony. Postanawiamy i rozkazujemy, iż każdy naczelnik jego domu ma prawo siadać w obecności monarchy Anglii, jak długo trwa państwo, w najdalsze czasy. Nikt mu tego nie śmie wzbraniać.

Między obecnymi znajdowały się dwie osoby, które weszły do sali tuż przed przybyciem Milesa. Słyszały one słowa królewskie i patrzyły przerażone to na króla, to na tego stracha na wróble, siedzącego w pośrodku sali. Nowy hrabia jeszcze ich nie spostrzegł; wpatrywał się ciągle z zachwytem w młodego monarchę i szeptał do siebie: — Boże i Panie, bądź ze mną, toć to jest mój chłopak żebraczy, mój obłąkany? On, któremu chciałem pokazać, co to znaczy być możnym? Jemu zachwalałem dom o siedmdziesięciu pokojach i dwudziestu siedmiu sługach? Łachmany były jego odzieżą, odpadki jadła jego pożywieniem, potrącania i razy jego codziennem ugoszczeniem. Ja chciałem za moje uznać to dziecko, porządnego zrobić zeń człowieka... O, gdzież teraz ukryć się od wstydu!

Nareszcie opamiętał się, oprzytomniał; ukląkł przed królem i składając ręce swe w dłonie monarsze, złożył mu przysięgę wierności, jako też lenną za otrzymane godności i dary. Potem podniósł się i z uszanowaniem stanął na boku. I teraz spoczywały na nim oczy obecnych; wielu mu zazdrościło.

Wtem spostrzegł król Hugha Hendona i zawołał głosem gniewnym, z zaiskrzonem okiem:

— Ten nędznik niech pozbawiony będzie godności oszustwem nabytej; odjąć mu ukradzione przezeń majętności i wrzucić go do więzienia, gdzie pozostanie, dopókąd o niego nie zapytam!

Hugo natychmiast został wyprowadzony z sali.

Znowu rozdzielił się tłum; za wprowadzającym go urzędnikiem szedł Tom Kanty w bogatym, ale odmiennym od innych stroju. Zbliżył się do tronu, ukląkł przed królem, który rzekł doń:

— Już wiem wszystko, co się działo podczas ostatnich tygodni, i jestem z ciebie bardzo zadowolony. Rządziłeś mojem państwem z prawdziwie królewską dobrocią i pobłażaniem. Odszukałeś twoję matkę i siostry? To dobrze, będą one zaopatrzone... Ponieważ królewską sprawowałeś władzę, jest więc słusznem i sprawiedliwem, abyś więcej niż zwykłą cześć i uszanowanie otrzymał. Przypatrzcie się wszyscy dobrze jego ubiorowi, będziecie go zawsze poznawać po takowym. Gdziekolwiek się ukaże, lud pamiętać powinien, że był królem, aby każdy oddawał mu hołd winny. Stoi on pod opieką tronu, chroni go korona, a przysługiwać mu będzie zaszczytny tytuł: »Pupila królewskiego«.

Tom Kanty podniósł się szczęśliwy i dumny. Ucałował rękę królewską, poczem wyszedł z sali posłuchalnej. Nie tracąc czasu, spieszył szybko do swojej matki, aby jej, Nanie i Betty, opowiedzieć o łaskach i postanowieniach królewskich i cieszyć się ich radością i wspólnem szczęściem.

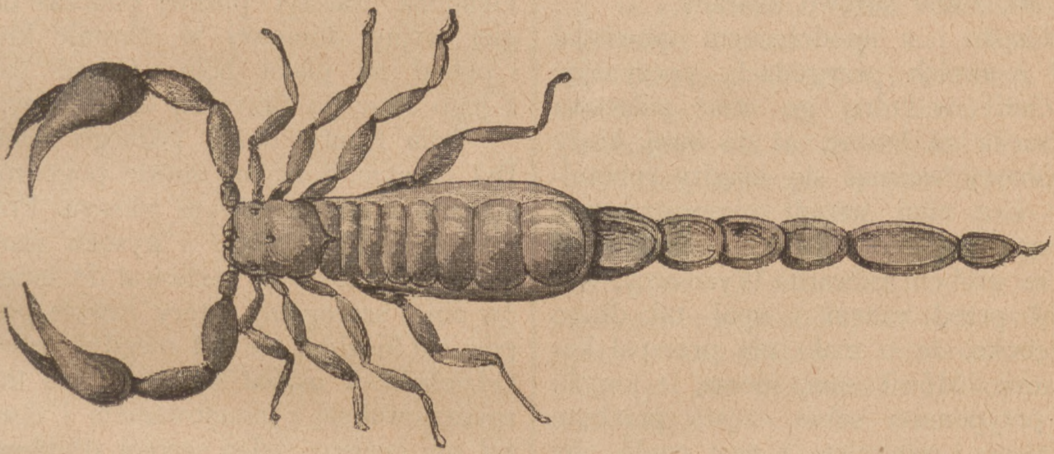
Sprawiedliwość i odwet.

Gdy wszystko się wyjaśniło, co jeszcze w przeszłości mogło być zagadkowem, Hugo Hendon wyznał, że groźbami zniewolił Edithę do zaparcia się Milesa. Zrazu nie skutkowały pogróżki, twierdziła, iż może ją zabić, gdyż jej życie i tak niemiłe, że umrzeć woli, niż cierpieć dłużej, a Milesa nie zaprze się. Dopiero gdy Hugo oświadczył, że Miles to życiem przepłaci, jeżeli ona go pozna, Editha uległa. Przez obawę o Milesa dotrzymała później do końca wymuszonego na niej przyrzeczenia.

Hugona nie stawiano przed sądami za tę groźbę, ani za to, iż bezprawnie przywłaszczył sobie stanowisko i posiadłości brata, gdyż ani brat, ani żona świadczyć przeciwko niemu nie chcieli. Uwolniony z więzienia, opuścił tajemnie żonę i uciekł z Anglii, a niezadługo potem umarł. Nieco później hr. Kentu poślubił pozostałą wdowę. Gdy nowo pobrani zwiedzili po raz pierwszy Hendon-Hall, z ogromnemi przyjęto ich uroczystościami.

Tom Kanty nigdy nie usłyszał nic o swoim ojcu, zginął on gdzieś bez wieści.

Król wyszukać kazał biednego wieśniaka, który był piętnowany i zaprzedany w niewolę. Oswobodzono go od towarzystwa Raufbolda i król dostarczył środków, aby mógł, pracując uczciwie,



SKORPION. (Obacz artykuł na str. 317.)

swobodne wieść życie i przyszłość sobie zapewnić.

Chłopca, który sokoła był schwytał, uratował od szubienicy, jak również słabą na umyśle kobietę, która była ukradła resztkę sukna. Człowieka, oskarżonego o zabicie sarny w lasach królewskich, nie mógł już dobry król ocalić, gdyż było zapóźno.

Urzędnik który za wyjawienie prawdy tak srogiego doznał obejścia, został uwolniony z więzienia i od kary pieniężnej. Córki tych dwóch kobiet, które w oczach Edwarda poniosły za wiarę katolicką straszną śmierć na stosie, były wychowane i zaopatrzone staraniem monarszem. Sługa sądowy, który bezprawnie chłostę wymierzył Milesowi Hendonowi, został surowo ukarany.

Często i z upodobaniem opowiadał król o swoich przygodach, poczynając od chwili, w której go straż pałacowa wyrzuciła za bramę, aż do owej, kiedy o północy wcisnął się między robotników i z nimi wszedł niespostrzeżony do opactwa Westminsteru. Tam ukrył się za grobem Edwarda Wyznawcy, lecz usnął przed ranem i spał tak długo i głęboko, że o mało nie przespał koronacyi. Mówił sam nieraz, iż umyślnie przypomina sobie często przebyte cierpienia i osiągnięte z nich nauki, aby dotrzymać wiernie i stale postanowienia wtenczas powziętego, że doświadczenia jego staną się błogosławieństwem dla poddanych i państwa, tarczą wszystkim, którymby krzywda groziła. Pozostały więc te obrazy świeżymi w jego pamięci, a serce dobrego Edwarda zawsze skłonnem było do litości i pobłażania i wykonywał je też, szczególną opieką ogarniając upośledzonych i wydziedziczonych.

Miles Hendon i Tom Kanty pozostali na zawsze ulubieńcami młodego króla. Byli drodzy jego zacnemu sercu i całą duszą doń przywiązani, później opłakiwali go szczerze po zbyt wczesnej jego śmierci. Hrabia Kentu wiele miał rozumu i nie nadużywał często swego przywileju; dwa razy tylko korzystał zeń i usiadł w obecności głowy koronowanej: było to raz przy wstąpieniu na tron królowej Maryi, drugi raz przy koronacyi królowej Elżbiety. Wnuk jego użył tegoż przywileju, gdy Jakób I. obejmował tron angielski. Więcej niż czwarta część stulecia upłynęła, zanim syn tego mógł podobnież z przywileju korzystać. Rzecz ta popadła była w zapomnienie i powstała gwałtowna burza gniewu, gdy ówczesny hr. Kentu wśród zgromadzonego dworu usiadł w obecności króla Karola I., aby przez to zastrzedz nadal prawa swego domu. Wyjaśnienie rzeczy nastąpiło zaraz i przywilej Kentów na nowo został potwierdzony. Ostatni w prostej linii potomek męzki Milesa Hendona walczył później podczas długiej wojny domowej w obronie króla i poległ na placu boju. Odtąd ustał z jego śmiercią przywilej tej rodziny.

Tom Kanty dożył późnego wieku. Był zacnym, dobrym, zawsze pogodnym starcem z srebrno-siwym włosem. Przez całe zycie był ogólnie i wysoko szanowanym i czczonym; zachował do śmierci ów ubiór szczególny, który zawsze przypominał ludziom, że był niegdyś królem. Gdziekolwiek ukazał się publicznie, tłum rozstępował się z uszanowaniem i otwierał mu miejsce; jeden szeptał drugiemu: »Zdejmij kapelusz, to jest pupil królewski«. Każdy mu się kłaniał, a on dziękował uprzejmym uśmiechem. Cieszył się tem lud i powtarzał opowiadania o zaszczytnych dziejach jego przeszłości.

Król Edward żył lat nie wiele; panowanie jego odznaczało się łagodnością i ludzkością. Czasem, gdy jaki wysoki dostojnik lub świetny lennik korony czynił zarzut, że król zbyt jest pobłażliwym lub utrzymywał, że jakieś prawo, które monarcha chciał zmienić, wcale nie jest uciskającem, wtedy król patrzył na niego poważnie wielkiemi, pełnemi wyrazu oczyma i odpowiadał: — Co ty wiesz o cierpieniu i ucisku? Ja i mój lud znamy jedno i drugie, a ty nie masz o nich pojęcia.

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

(Ciąg dalszy.)

Cesarz Julian tak bardzo prześladował chrześcian, że chrześcianie pod jego panowaniem nie mieli żadnego prawa, kiedy poganie doznawali opieki prawa. Jeżeli jaki chrześcianin został obrażony, zelżony, zbity, okradziony, oszukany i chciał skargę podać do sądu, to musiał najpierw zaprzeć się wiary i bożkom ofiarować kadzidło; jeżeli się wzbraniał, to nie tylko skargi jego nie przyjęto, lecz jeszcze na karę pieniężną go skazano. Jeżeli chrześcian urzędnicy albo lud prześladował, albo nawet zabijali, to nikt się za nimi nie ujął, przeciwnie, jeżeli jaki urzędnik chciał ich bronić, to go z urzędu składano. Mieszkańcy miasta Gazy poturbowali trzech braci chrześciańskich, Euzebiusza, Nestabasa i Zenona. Najpierw ich wtrącono do więzienia. Lud włamał się do więzienia, wyciągnął trzech braci, polał ich gorącą wodą, żgał rożnami, póki nie umarli. Potem rzucono ciała na gnój i spalono. Resztki ciał pomięszano z kościami osłów i wielbłądów, aby nie można rozróżnić kości męczenników od kości zwierząt i aby chrześcianie ich kości jako relikwii nie schowali. Namiestnik cesarski kazał winowajców uwięzić. Lecz Julian strącił namiestnika z urzędu; »bo, mówił, czemu było robić tyle hałasu, że się zemszczono za siebie i bogów pogańskich na kilku chrześcianach?« Kiedy się o tem dowiedziano, to w innych miastach poganie równych rzeczy sobie pozwalali.

Lecz czasy, w których się działy cuda, jeszcze nie minęły, a ramię Boga nie skróciło się. Nie brakło męczenników, którzy okazali tyle wiary i odwagi, jak za dawniejszych czasów prześladowań. Na rozkaz Juliana męczono pewnego młodego chrześcianina, Teodora. Rozpięto go na katuszach, biczowano i szarpano żelaznymi pazurami. To trwało od rana do wieczora, a Julian przezwyciężony wytrwałością młodzieńca, puścił go na wolność. Pytano się chrześcianina, jak mógł tyle wytrzymać. Teodor odpowiedział, że z początku wprawdzie cierpiał, lecz ukazał mu się młodzieniec, który go ocierał płótnem, i tak się czuł pokrzepionym, że żałował, kiedy się męczarnie skończyły, bo wtenczas i ów cudowny młodzieniec zniknął. Biskupa Marka z Aretuzy, który był Juliana przechował i od śmierci uratował, wleczono po błocie i żelazami żgano. Kobiety przeciągały mu igły i nici przez uszy. Kiedy całe ciało było jedną raną, posmarowano go miodem i powieszono na słońcu, a pszczoły kłuły go żądłami. Obiecano mu, że go puszczą, jeżeli da małą sumę, której chciano użyć na odbudowanie zburzonej świątyni pogańskiej, lecz Marek na ten cel nie chciał dać ani grosza, żartował sobie i szydził ze swych dręczycieli, mówiąc, że jest bliżej nieba aniżeli oni. W końcu nie tylko go puszczono, lecz wielu z obecnych przyjęło wiarę chrześciańską. We wielu miejscach napadano kapłanów chrześciańskich i zakonników i rozprówano im brzuchy. Na to wszystko spokojnie patrzał Julian.

Kiedy cesarz srożył się przeciw chrześcianom, popierał heretyków i żydów. Wiedział, że większa część heretyków (Aryanów) w gruncie wcale nie byli chrześcianami i że byli gotowi prześladować katolików, prawowiernych chrześcian, byle im pozwolono na to. I tak się stało. Ledwo zmiarkowali heretycy, że mogli bezkarnie prześladować katolików, to wpadli na nich z nie mniejszą wściekłością i okrucieństwem od pogan. Bezcześcili świątynie katolickie gorzej aniżeli poganie, chociaż się sami nazywali chrześcianami. W mieście Lamela napadło dwóch heretyckich biskupów na katolików, kiedy odprawiali nabożeństwo w kościele zamkniętym. Kazali ludziom zdjąć dach i rzucać kamienie katolikom na głowy. Heretycy zabierali katolikom kościoły, cmentarze,



Strzelec nad strzelcami. (Obacz objaśnienia rycin na str. 320.)

pisma św., łamano kielichy, sprzedawano naczynia święte, niszczono ółtarze. W jednem mieście porzucono nawet psom przenajświętszy Sakrament. Lecz tu okazał się sąd Boży. Psy się wściekły i poszarpały swych panów, którzy dopuścili się takiego świętokradztwa. W ten sposób zostali ukarani bezbożnicy.

Nie tylko heretyków, ale i żydów szczuł Julian na katolików. Kazał przyjść do siebie starszym żydowskim i upominał ich, aby się trzymali swych przepisów, aby mianowicie składali ofiary całopalenia i inne przepisane w Starym Zakonie. Żydzi odpowiedzieli, że im nigdzie indziej nie wolno ofiarować jak w świątyni jerozolimskiej, która jest zburzona. Julian kazał im odbudować świątynią, dał im pieniądze i kazał namiestnikowi Alypiuszowi być im we wszystkiem pomocnym. Powstała pomiędzy żydami wielka radość i ze wszystkich stron biegli żydzi do Jerozolimy, aby odbudować świątynią. Jako za czasów odbudowania świątyni po niewoli babilońskiej, niewiasty i dziewczyny dawały na to swe klejnoty, aby porobiono z nich naczynia święte, a oprócz tego wynosiły gruzy starej świątyni. Lecz słowo, że ze świątyni nie pozostanie kamień na kamieniu, pozostało wyrokiem. Usiłowania Juliana, który chciał obalić wyrok boski na żydów, zostały w niwecz obrócone. Tak stare księgi opisują: Stare rumowisko usunięto, na drugi dzień chciano zacząć na nowo budować. Zwieziono wapno, lecz w nocy wicher wszystko poroznosił, nawet kamienie budowlane. Zaczęto znowu, lecz trzęsienie ziemi uszkodziło robotników i widzów. Budowano dalej. Kiedy kładziono fundamenta, usunął się kamień i zobaczono jaskinią, napełnioną wodą na pół chłopa. Jaskinia była ręką wykuta, czworograniasta, w środku stał słupek, a na nim książka leżała zawinięta w płótno. A była sucha chociaż w wodzie. Otworzono ją i czytano: Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Słowem był Bóg! Znaleziono więc ewangelią według Jana św. Wszyscy się zdziwili. Budowano jednak dalej. Namiestnik, bojąc się Juliana, kazał się spieszyć. Lecz otóż wybuchł ogień z pod ziemi i nie można było dalej budować. Musiano wszystkiego zaniechać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BASKOWIE WE FRANCYI.

Wszyscy mieszkańcy Francyi są obywatelami kraju francuskiego, lecz nie wszyscy są jednego pochodzenia, jednego szczepu. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Prus są obywatelami państwa pruskiego, lecz nie wszyscy są jednego pochodzenia, jednego szczepu, nie wszyscy jednego ojczystego języka. Nie ma kraju, w którym obywatele wszyscy są jednego szczepu i pochodzenia.

Pomiędzy szczepami we Francyi żyjącymi, bardzo dziwnym ludkiem są Baskowie, odmiennego pochodzenia od innych mieszkańców. Zamieszkują trzy obwody bardzo różniące się od siebie. Pierwszy obwód, Soule, jest górzysty, nieurodzajny, jałowe wzgórza i leśne pastwiska się tylko oku ludzkiemu ukazują. Na wierzchołkach gór widać ruiny (szczątki) zamków starych, zieleniących się mchami i roślinami pnącemi się. Górskie strumienie spadają ze szumem po kamieniach i skałach potrzaskanych, dążąc w spokojną dolinę, w której gdzieniegdzie rozsiadła się uboga wioska. W małych chatach, otoczonych zwykle ogródkiem lub polem kukurydzy, mieszkają przez większą część roku tylko kobiety i dzieci, ponieważ mężczyźni muszą po za domem szukać chleba jako pasterze, majtkowie lub żołnierze. Zupełnie inaczej wygląda w drugim obwodzie baskijskim, w Dolnej Nawarze. Tu jest weselej i bogaciej Na pagórkach dojrzewa wino i kasztany do jadła, dolina zasłana polami kukurydzy

i pszenicy. Pastwiska są tu daleko lepsze, a na nich pasą się sławne konie nawarskie, żywe i zwinne. Kupują takowe Hiszpanie i Francuzi, ponieważ Baskowie mieszkają na granicy hiszpańskiej, na granicy, którą tworzą góry pyrenejskie. Najpiękniejszy jest trzeci obwód baskijski, Labourd, który się ciągnie aż do morza. Najwięcej życia dodaje okolicy rzeka Nive, pełna ryb, nad którą stoi wiele młynów i fryszerni. Mnogo szkut płynie na niej, wioząc wino, tytoń (tabakę), korzenie nad morze, do miasta Bayonne. Na górach rozciągają się łąki pełne kwiatów, a nad rzeką niebieską rozciągają się ogrody i plantacye drzew owocowych, kasztanów i orzechów. Z jednej i drugiej strony rzeki wielkie wsie, z pagórków winem obsadzonych widnieją większe zabudowania bogatych włościan. Do głównego miasteczka, Ustaritz, zgromadzali się dawniej dwa razy do roku Baskowie na uroczystości narodowe, do których należał sąd ludowy i święto zaduszne. Zgromadzają się też Baskowie, aby rzucać piłkami, a są bardzo zgrabni i zwinni. Piękny wtenczas przedstawia się obraz, ponieważ stroje narodowe, ludowe Basków są bardzo barwne, tak u mężczyzn, jako i u kobiet. Mężczyźni noszą krótkie spodnie (galoty) do kolan, z czarnego aksamitu lub wełny, czerwone westki i pasy, krótkie brunatne jaki, koszule białe jak śnieg, jedwabną chustę na szyi. Na głowie noszą niebieskie czapki, włosy długie aż do ramion w jedwabnych siatkach. Na nogach mają sandały konopiane, zdobne barwnymi sznurami. Ubiór kobiet jest naturalnie nie mniej barwny i piękny a strojny. Suknie mają krótkie czerwone, wełniane, czerwony stanik i barwną zapaskę (fartuch). Na głowie noszą kapucę z flaneli czerwonej lub białej albo biały kapelusz filcowy, szeroki, na nogach białe lub niebieskie (modre) pończochy i zgrabne trzewiki, zawiązane barwnemi tasiemkami.

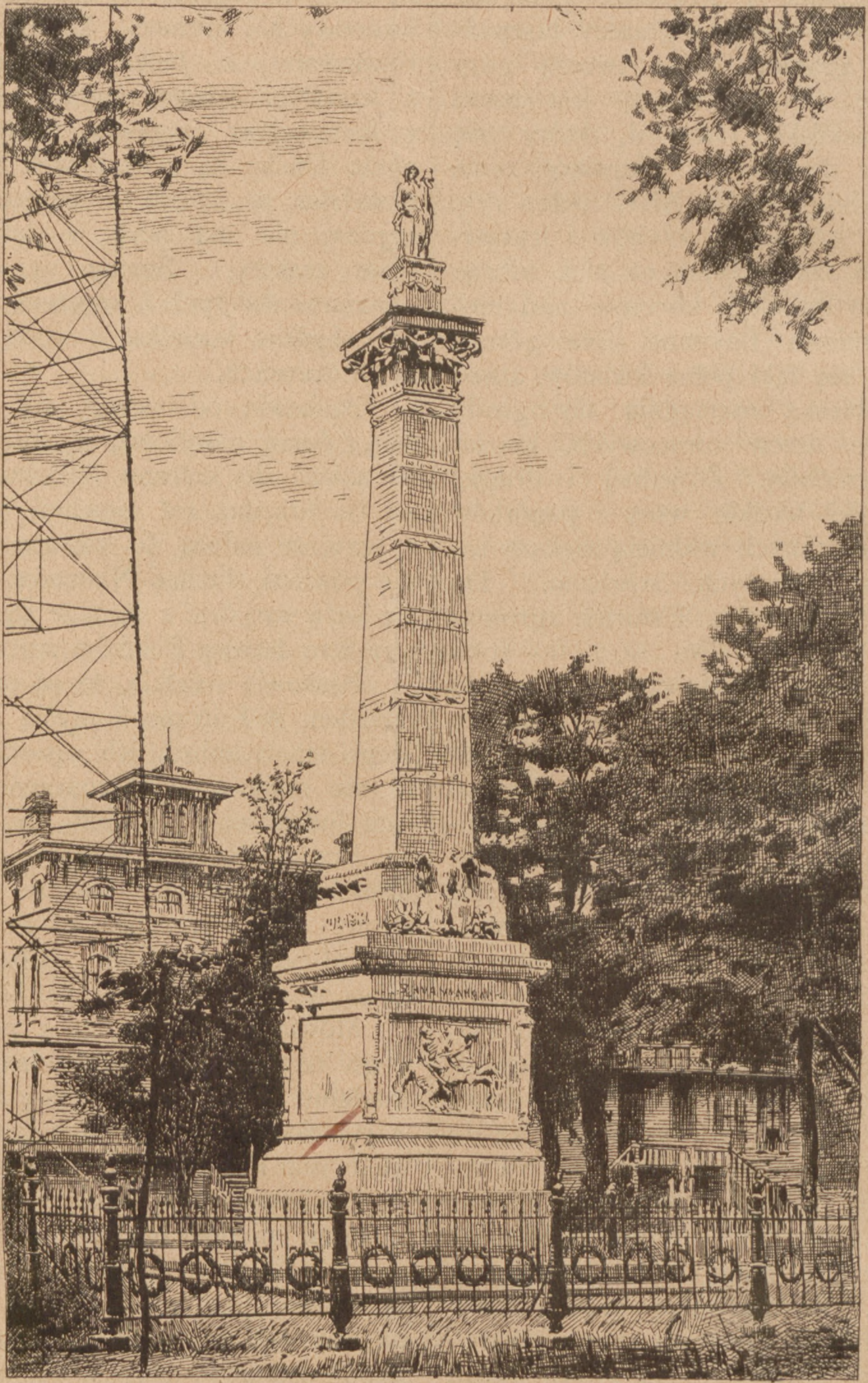
Zobaczmy, jak wyglądają domy ludu baskijskiego. Małe białe domki wieśniaków są na pół w zieleni schowane; przed domem zwykle ogródek, w którym kwitnie rezeda, fiołki i róże; za domem ciągną się plantacye drzew owocowych i winnice. Domki są niskie zbudowane z belek dębowych lub z kwadrów marmurowych, ściany są z kamyczków wapnem mocno spojonych. Dachy są z dachówek ceglanych, posadzka w izbach z cegieł. Prawie nigdzie nie ma szyb w oknach, tylko białe zasłony. Ściany są ozdobione obrazami świętych i krzyżem. Nie brak też nigdzie kociełka z wodą święconą przy drzwiach.

Baskowie odznaczają się gościnnością i dumą narodową, są dumni z tego, że należą do szczepu Basków. (Polacy na G. Szląsku też powinni być dumni z tego, że należą do szczepu polskiego, nie powinni słuchać Niemców, którzy im się każą wstydzić z tego, że są Polakami, aby tem łatwiej Polaków zniemczyć).

Baskowie uważają, że są najstarszym narodem w Europie, i myślą że są lepszego stanu aniżeli ich sąsiedzi. Mimo to nie mają oni już znaczenia w dziejach ludzkości. Jest ich za mało, bo we Francyl ledwo 160,000 dusz liczą. Mieszkają Baskowie jeszcze z drugiej strony gór Pyrenejskich, w Hiszpanii, a tam jest ich milion. Co do religii, to są wszyscy dobrymi katolikami.

Mówią o Baskach, że z powodu żywego usposobienia przesadzają w opowiadaniu i nie trzymają się ściśle prawdy. Baskowie są jeszcze bardziej ożywieni niż Francuzi.

Baskowie mają swoję osobną mowę ojczystą, niepodobną do żadnej innej mowy. Bardzo przyjemnie słyszy się ich mowa, jest w niej siła. Podobnie jak w polskiem wiele współgłosek następuje jedna po drugiej, jak np. »szcz«, »rzecz«. Baskowie umieją w mowie używać pięknych porównań i opisów, jakoby się patrzało na jaki obraz, kiedy ich się słyszy mówiących. Taki sposób opowiadania nazywa się obrazowy. Chrystus Pan też nauczał obrazowo, w przypowieściach i porównaniach.



Pomnik Kazimierza Pułaskiego w Ameryce.

(Obacz objaśnienia rycin na str. 320).

NA SĄDZIE.

.... — »O Panie!
Jakiemże prawem oni tu przedemną?
Znasz moje życie; wiesz: nie upadł na nie
Z grzechów ni błędów żaden plamą ciemną.
Święte mi było każde przykazanie —
I nawet nie wiem, co znaczy w oporze
Przeciwko woli Twej broń podnieść, Boże!

»Ilekroć zwodne błysły skąd ogniki,
Wzrok odwracałem; gdy pieśnią ponęty
Szatan wywołać chciał zmysłów bunt dziki,
Wstęp do mej duszy spotykał zamknięty;
Gdy groźby miotał, bym jak liść osiki [trzebie
Drżał z trwogi przed nim, ja w każdej po-
Jako bluszcz — żerdzi, imałem się Ciebie.

»Anim nie zginął na drzewie żywota
Odroślą martwą albo pasożytem;
Sto rąk, sto oczu miała moja cnota;
Przed nędzą mienie me nie było skrytem
I nie zamknięte były serca wrota.
Ilem ja razy winy zgładził cudze;
Ile otarłem łez ku swej zasłudze!

»A jednak teraz... Skąd, o Panie, powiedz,
Gdy liczbę z życia skończonego zdałem,
Widzę przed sobą innych, — co manowiec
Niejeden przeszli i albo z zapałem
Tobie wypowiadali bój, lub nakształt owiec,
Gdy je wilk nagle po runie zaskubie,
Strwożeni, biegli oślep wprost ku zgubie!

»Ile upadków przebywali oni,
Ile zwątpienia i rozpaczy ile
Tych chwiejnych w życiu chwytało się dłoni,
A przecie teraz witasz ich tak mile.
Cóż one cienie od twej pomsty chroni
I w czem ich wyższość nademną, co w bieli
Niepokalanej wracam tu?« — »Cierpieli!«

Nieco o skorpionach.

Mimo swego podobieństwa do raków, jak to na obrazku widać, są skorpiony rodzajem owadów i należą do klasy pająków. Różnią się one jednak bardzo od drugich gatunków tejże klasy, jak to już obrazek pokazuje. Długi ogon kończy się kolcem, stanowiącym straszną broń skorpionów. Uchwyciwszy mniejsze zwierzątka swemi szczypcami, podnoszą je w górę i zadają im kolcem ranę, która je natychmiast zabija. Za pomocą kolca tego bowiem skorpiony zadawają trucizny, która i u ludzi wywołuje boleści, zapalenie, febrę, mdłości, a niekiedy nawet pozbawia życia, jak ukłucie pochodzące od kilku afrykańskich i azyatyckich gatunków, których ogółem naliczono około 100. Samiczki wydają na świat żywe młode, które przez pewien czas noszą na sobie, aż podrosną.

Długi czas myślano, że skorpiony żyją tylko w górnych Włoszech i sąsiedniej Szwajcaryi, w Afryce i Wschodnich Indyach, ale twierdzenie to było mylnem. W całej Ameryce środkowej, a także w Ameryce południowej żyją ich całe masy, w niektórych okolicach roją się nawet jak muchy, ale nigdzie nie są tak nieznośnymi jak w starem Meksyku. W prowincyi Durango — jeżeli można wierzyć opowiadaniom podróżnych, którzy te okolice zwiedzali, — żyje podobno czarny skorpion, który jest tak szkodliwym i niebezpiecznym, że rząd wyznaczył nagrodę za każdą zabitą sztukę.

Czerwony teksański skorpion bywa niejednokrotnie zwany także skalnym, ponieważ przebywa głównie na wyżynach kraju tego, ale właściwy skorpion skalny znachodzi się tylko w Afryce, gdzie miewa nieraz 15 do 18 centymetrów długości. Uważają go za najzłośliwszego w swym rodzaju, chociaż mieszkańcy prowincyi Durango twierdzą, że jeden czarny skorpion, zwany Alakran, jest niebezpieczniejszym od tuzina afrykańskich.

Teksański skorpion dochodzi do 6 i 8 centymetrów długości, nie wliczając ogona, i jest mniej strasznym od poprzednich, ale i on staje się nieznośnym ze względu na swój sposób życia i na wielką ilość, w jakiej się go natrafia. Pewien badacz pisze o nim co następuje: »W naszym obozie pod San Antonio miałem podczas lata dosyć sposobności przypatrzyć się skorpionom i zbadać ich życie. Skorpionów mieliśmy rano przy śniadaniu, na obiad, na wieczerzę i w nocy podczas snu. Nasze namioty miały bowiem drewniane podłogi i stały na podwyższeniu, tak że woda deszczowa mogła z pod namiotów swobodnie odpływać, i dla tego chowały się pod nimi całemi masami. Nie padało wprawdzie tak często, mimo to ziemia pod namiotami była wciąż mokra, a przytem ciepła, i to przyciągało ich ze wszystkich stron. W dni dżdżyste pod wieczór wchodziły do namiotów i szukały sobie wygodnego legowiska w butach, odzieniu lub tapczanach. Prawdziwie uwierzyć trudno, jakie ich masy wonczas było można widzieć. Nieraz, kiedy deszcz lał jak z cebra, a nie było żadnego innego zajęcia, urządzaliśmy polowanie na tych nieproszonych gości, zakładając się przytem, kto ich więcej ubije. Na drugi dzień było ich znowu tyle co przedtem. Nie można zaś było być dość ostrożnym przy ubieraniu się z rana i każdą część ubrania trzeba było dobrze przetrząsnąć, bo wszędzie siedział ten obrzydliwy owad, to w rękawach, to w kieszeni. Wdziewając na się surdut w zamyśleniu, uczułem nieraz, że skorpion siedzi w rękawie; można sobie wystawić, z jakim pospiechem zrzucałem odzienie, choć co prawda, słyszałem najrozmaitsze zdania co do skutków trującej cieczy, którą skorpiony z siebie wydają. Mówiono mi o jednym, że zraniony kolcem skorpiona umarł, inny chorował bardzo ciężko i tylko z biedą go wyratowano, trzeci tymczasem zaledwie poczuł na sobie skutki żądła. Zaręczano mi, że przez zaszczepienie jadu skorpionów można się zabezpieczyć raz na zawsze przed nimi, niwecząc w ten sposób zgubny skutek zadanej przez nich rany, atoli nie miałem sposobności stwierdzić na sobie, czy i ile w tem jest prawdy. Zauważyłam natomiast, że jad wspomniany działa na człowieka co raz słabiej, aż w końcu ukłucie nie wywołuje więcej boleści od żgnięcia igłą.

Między służbą naszą znajdował się także stary krajowiec meksykański, któremu do szczęścia nie było więcej potrzeba nad pełen żołądek, garść liści tabacznych do żucia i wygodne łoże. Otóż pewnego gorącego dnia, w samo południe, w którym to czasie rana przez skorpiona zadana jest najniebezpieczniejsza, widziałem, jak tenże krajowiec wydobył z rękawa zawieszonego na kołku surduta gołą ręką wyrosły zupełnie egzemplarz skorpiona i zdusił go w palcach z największym spokojem, nie zważając bynajmniej na to, że złośliwy owad zatopił swój kolec zatruty w jego dłoni. Osłupiałem po prostu ze ździwienia na widok takiej lekkomyślności! Meksykanin wyjął tymczasem z największym spokojem szczyptę przeżutych liści tabacznych z ust i przyłożył ją do rany; miejsce, w którem go skorpion ukłuł, zaledwie się zaczerwieniło, zresztą nie było żadnych skutków. Później opowiadał mi tenże Meksykanin, że go już setki skorpionów pokłuły i że z tego powodu jad ich już mu nic nie szkodzi. Za pierwszym razem noga nabrzmiała mu tak okropnie, że już ją mu chciano odjąć, obawiając się o jego życie, w końcu obłożono ją pieprzem hiszpańskim, salmiakiem i sokiem tabacznym i pod wpływem takiego okładu nabrzmiałość opadła! W następnych razach skutek ukłucia był coraz słabszym, w końcu jad nie działał już wcale, a Meksykanin twierdził, że był również zabezpieczonym przeciw ukąszeniom wężów, zwłaszcza grzechotników, i wściekłych pekkari czyli świń bizamowych, równie niebezpiecznych jak psy wściekłe.

W oczach krajowców meksykańskich skorpiony są nieomal tem, czem u nas muchy lub pluskwy. Skoro się im

owad ten nawinie pod rękę, urywają mu koniec ogona, poczem zwierzę drgając nieustannie, zdycha. Prawie każdy Meksykanin, pracujący pod gołem niebem, ma przy sobie rurkę metalową lub klucz wydrążony; skoro go skorpion ukłuje, przytyka rurkę otworem do rany i naciska silnie przez kilka minut, przez co krew zatruta wypływa z rany, potem wysysa ją jeszcze i w końcu okłada mięszaniną z pieprzu hiszpańskiego i soku tabacznego. U dzieci i osób słabowitych — jak nie trudno pojąć, — skutki ukłucia są daleko niebezpieczniejsze: następują kurcze, z ust wydobywa się piana, całe ciało nabrzmiewa, same takie oznaki, jak przy wściekliźnie. Najlepszym środkiem przeciwko ukłuciu przez skorpionów i ukąszeniu wężów jest alkohol w znaczniejszych ilościach, a co przytem zadziwia, to właśnie ogromna ilość alkoholu, jaką dotknięty w tym razie znieść może.

Jeden przymiot jest wszystkim skorpionom wspólny, a tym jest niezgodność i niezwykła wojowniczość nawet wobec sobie równych. Przy lada sposobności, gdy im jaki owad lub robaczek najdrobniejszy zajdzie drogę, ba, choć ich tylko gałązka lub suchy kawałek drzewa draśnie, zaraz zadzierają ogona i atakują mniemanego nieprzyjaciela. Gdy się ich kilka wsadzi do wązkiego pudełka i jednego z nich dotknie chociaż słomką tylko, natychmiast popada w gniew i napada na najbliższego towarzysza; po kilku sekundach niema już ani jednego, któryby nie brał udziału w walce, a walka nie ustaje prędzej, aż już jeden tylko przy życiu pozostał. Opowiadają nawet, że i ten ostatni popełnia w rozjątrzeniu samobójstwo, zadając sobie kolcem ranę na grzbiecie. Ażeby się przekonać, czy te opowiadania o samobójstwach skorpionów polegają na prawdzie, czy też są tylko prostym wymysłem bujnej wyobraźni, zrobiono kilka doświadczeń i to następującego rodzaju. Sześć skorpionów wsadzono po kolei w koło utworzone z żarzących się węgli. Każdy z nich po małej chwili zaczął obchodzić do koła, jakby szukał wyjścia; z początku szedł zwolna, potem coraz szybciej, aż w końcu, przekonawszy się, że nie było żadnej drogi wyjścia, wracał do środka, zadawał sobie ranę kolcem i ginął po kilku sekundach. W ten sposób wszystkie popełniły samobójstwo. Mimo to rzecz jest niejasna, gdyż ponowne doświadczenia nie okazały tak wyraźnego rezultatu.

Inną właściwość, którą się skorpiony odznaczają, jest — mimo ich wojowniczości! — miłość samicy ku swemu potomstwu. Przez cały miesiąc nosi ona swe młode na grzbiecie ze sobą, aby módz o nich lepiej pamiętać, a rzecz to wcale nie łatwa, ile że liczba młodych dochodzi nieraz pięćdziesięciu.

Jakżeż dziwne częstokroć i wielce rozmaite są twory wszechmocnego Boga!

POSŁUSZNI MAŁŻONKOWIE.

Było to już późno w noc. W ciepłym pokoju gospody »pod wściekłym śledziem« siedziało nas siedmiu obywateli z bractwa piwnego, racząc się po całodziennych trudach zacnem piwkiem, którego już kilka kufelków każdy z nas spuścił po języku w bezdenną otchłań żołądka. Wtem jednemu z nas przyszła następna myśl do głowy:

»My tu weselim się, jak gdyby każdy z nas był wygrał wielki los, ale co tam w domu robią nasze kobiety? Co one powiedzą, że je tak długo zaniedbujemy?!«

Dalejże rada w radę, w końcu stanęło na tem, iż każdy, wróciwszy do domu, aby udobruchać swą połowicę, wypełni bez wykrętów, cokolwiek ona zażąda. Dnia następnego mieliśmy się znowu zejść i zdać wierny raport z tego, co kto wykonał. Ktokolwiek z nas nie wypełniłby życzenia swej żony, był zobowiązany »stawić« kolejkę dla wszystkich. Postanowienie to przyjęto jednomyślnie.

Na drugi dzień z rana schodziliśmy się na rogu ulicy, a tu śmiech i wrzawa, bo oto jeden z naszych leży w próżnej beczce i chrapie w najlepsze.

— Co ty tu robisz, Józku? — zawołaliśmy.

Przebudzony wołaniem wygramolił się z beczki.

— Co robię? — odrzekł. — Oto wypełniłem rozkaz mej żony. Zaledwie wstąpiłem do pokoju, natychmiast przywitała mnie temi słowy, że kiedy dzień cały mogłem z pełnej ciągnąć beczki, to nocą mogę w próżnej się przespać. Jak widzicie, wypełniłem mój obowiązek, a teraz mówcie wy drudzy.

— Skoro wszedłem do domu, — zaczął mówić Franek — uderzyłem łysiną o próg i narobiłem wielkiego łoskotu. »Lepiej pobudź natychmiast dzieci, aby wiedziały, co za ojca mają,« krzyknęła na to moja żona. I obudziłem wszystkie, aż płakać zaczęły i śpiewać musiałem, aby je uspokoić; dopiero nad ranem mogłem się do snu ułożyć. Wykonałem mój warunek, niech teraz mówi następny.

— Ja, — mówi na to Władziu — idąc przez kuchnią zawadziłem w szafę, że aż szczęknęły talerze. »A ty pijaku« zawołała z sypialni żona, »lepiej je zaraz wszystkie potłucz.« Posłuszny jej woli wywróciłem szafę natychmiast, a miski, talerze, filiżanki, flasze i garnki wyleciały z trzaskiem na podłogę i zamieniły się w jednej chwili w jednę kupę skorup.

Przyszła kolej na Andrusia.

— Wchodząc do domu, — mówił tenże — zaśpiewałem sobie ulubioną piosnkę, alež mnie też za to przywitała żona. »Pewnieś nie dosyć z pijakami beczał, to śpiewaj, śpiewaj, co ci tchu stanie.« I poszukałem książkę z piosnkami i prześpiewałem z rzędu piętnaście, aż mi w gardle zachrypło i dopiero o świcie usnąłem.

— A co mnie się przytrafiło! — począł mówić Janek. — Oto moja żoneczka wieczorem zarobiła ciasto na placki, a potem na psotę dla mnie postawiła mi je w drogę, tak iż wchodząc do pokoju, potrąciłem nogą o misę. »Pijaku przebrzydły, lepiej wskocz natychmiast w ciasto« zawołała żonka z największą złością. I wskoczyłem... obiema nogami wskoczyłem, aż ciasto prysnęło pod sufit i dno się z misy wyrwało.

— Szkoda, — zawołał Bartosz — szkoda ciasta, ale szkoda i mojego nosa. Wszedłszy do pokoju, chciałem iść na palcach i jakoś potoczyłem się trochę. »Lepiej się zaraz wywróć cały« krzyknęła moja z łóżka, i tak się wywróciłem i oto nos sobie zbiłem; patrzcie, jaki siny.

— Tak, tak! Wszyscy się jakoś obmywacie, każdy umiał się wykręcić, choć nie wiem, czy to jest prawdą, co każdy tu mówi. Mnie bo poszło inaczej, — tak w końcu odezwał się Antek:

— A co, czy miałeś jakie kłopoty? Powiadaj! — zawołali chórem.

— Kłopotów nie miałem, boć moje kobiecko jest dobre i zawsze o mnie troskliwe. Ale co w swej troskliwości żądało odemnie, toby i z was żaden nie wykonał. Gdym wrócił do domu, żoneczka moja przywitała mnie mile i słodko, nawet zaczęła żartować i dowcipkować sobie: »A co ojciec,« mówiła »dziś masz dobrze pod czubem, głowa cięży i w gardle sucho. Spodziewałam się tego i dla tego przygotowałam ci dwa kubełki świeżej wody; teraz pij, pij, pij, aż ci z głowy wyjdzie.« Tak mówiła dobra żonka; ale jak tu dwa kubły wody naraz wypić? Nie mogłem, bo to chyba na 20 lat starczy!

— Więc przegrałeś — krzyknęli wszyscy — i rachunek cały zapłacić musisz!

I Antek zapłacił!

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Kazimierz Pułaski, bohater konfederacyi barskiej, zawiązanej celem ratowania chylącej się ku upadkowi Polski, a syn starosty wareckiego, twórcy tejże konfederacyi, urodził się 1740. Od roku 1768 aż do roku 1772 dokazywał cudów waleczności, dając się we znaki Moskalom, a choć kilka razy przechodził ciężkie oblężenia, nie tracił ni odwagi ni nadziei. Opuściwszy Polskę, udał się nasamprzód do Turcyi a następnie do Ameryki, by wziąć udział w walce o niepodległość, którą Zjednoczone Stany prowadziły z Anglią. We Wrześniu 1777 r. otrzymał dowództwo nad całą konnicą Zjednoczonych Stanów i zjednał sobie swą niezwykłą odwagą wielki rozgłos, aż w końcu, 9. Października 1779 r., poległ śmiercią walecznych w bitwie pod Savannah. Napis na pomniku, który mu wdzięczni Amerykanie wystawili w Savannah, opiewa: Pułaski, bohaterski Polak, który padł raniony śmiertelnie, walcząc za wolność amerykańską, przy oblężeniu Savannah 9. Października 1779 r.

Strzelcem nad strzelcami, którego wizerunek na str. 312 przedstawia strzelającego w najrozmaitszych i najdziwniejszych położeniach, jest Amerykanin nazwiskiem Sober. Nie chybia prawie nigdy, czy to strzela do tarczy, czy też do ptaków wśród lotu, a wprost zadziwia trafnością przy strzelaniu z przeszkodami, jak to widać na obrazku. W tym względzie nie ma sobie równego na całym świecie Polska szczyciła się dawniej również znakomitymi strzelcami; rozgłos ich zadziwiającej pewności strzału przeszedł aż do naszych czasów.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Ziemia w przestrzeniach.

Dziwne oczarowanie ogarnia nas, gdy porównujemy dawniejsze podania z obecną umiejętnością astronomiczną. Stare legendy o słońcu i księżycu, o ziemi i niebie, o gwiazdach i firmamencie niebieskim, opowiadają nam o jednych i tych samych przedmiotach, których wielkością i ciężarem, składem i naturą zajmują się i opisują teraźniejsi astronomowie. Wielka zaiste jest różnica pomiędzy opowiadaniami z dawnej przeszłości, a obecną astronomią. Nigdzie sprzeczności nie są więcej widoczne jak właśnie pomiędzy dziecinnymi domysłami pierwszych narodów a obecnymi, niemal pewnymi dowodami uczonych, którzy poświęcają się astronomii

Starożytni Grecy, na ośmset lat przed narodzeniem Chrystusa, przedstawiali naszą ziemię jako wielką płaszczyznę, otoczoną wodami i pokrytą firmamentem, który tworzył zarazem posadzkę nieba, mieszkanie bogów Olimpu. Grecya, w ich mniemaniu, była w samym środku ziemi, a miejsce święte Delphi w samym środku Grecyi. Jakże jednak obecnie przedstawia się ta sprawa zupełnie odmiennie. — Uczeni i mędrcy odkrywają co chwila nowe światy w przestworze. Dowiadują się o ich naturze i ich odległości od ziemi, a zarazem myślą nad sposobem poznania łączności i stósunków, pomiędzy tymi światami. Łamią sobie głowy, gdzie się znajduje nasza ziemia w stosunku do innych światów i jaki wpływ mają inne systemy słoneczne na naszą małą ziemię, na której mieszkamy.

Mówiąc o odległości tych nowo odkrytych światów, zmuszeni jesteśmy wynaleść nową miarę, gdyż mile dla astronomii są za krótkie. Mówimy więc o roku światła, to jest o takiej odległości przez którą promień słoneczny, przebiegając 186,330 mil na sekundę, przedrze się w jednym roku.

Zapoznajmy się bliżej z tem, co to jest rok światła i ile wynosi geograficznych mil. Trudno to obliczyć cyframi, a więc objaśnijmy to na przykładzie.

Gdybyśmy wsiedli do najszybszego pociągu i podróżowali bez odpoczynku, to do odbycia roku światła potrzebowalibyśmy jedenaście milionów lat.

I tej to ogromnej miary używamy zamiast mil do obliczenia odległości gwiazd jednej od drugiej. Często słyszymy także o kubicznym roku światła; — to jest tylko urojony sześcian, którego każda strona ma długość roku światła.

Mijały długie latá, nim ludzie byli w stanie obliczać odległość gwiazd, aż nareszcie poszczęściło im się znaleść miarę, którą można uważać za dostateczną.

W obecnych czasach odległość kilku gwiazd jest ze stosunkową dostatecznością w przybliżeniu znana — o dokładności tutaj nie może być ani mowy.

Najbliższą gwiazdą (nie mówię tu o planetach, lecz o gwiazdach stałych), którą do tego czasu odkryto, jest tak zwana Alpha Centauri, z odległością $4^1/_3$ roku światła

Prawdopodobnie następną z kolei jest mała gwiazdka, około $6^1/_2$ roku światła oddalona od nas.

Gwiazda »61 Cygni«, której odległość od nas najczęściej mierzono, wynosi około 7 do $7^1/_2$ roku światła.

Weźmy jednak naszą najbliższą sąsiadkę »Alpha Centauri« i zobaczmy, jakie odosobnienie panuje w przestrzeni naszego słonecznego systemu. Wyobraźmy sobie wielką kulę, w której samym środku znajduje się słońce. Otóż promień jego ma przeszło 4 i pół roku światła, średnica tej kuli ma przeszło 50 bilionów mil, a jej sześcian zabiera 70 tysięcy sekstylionów (7 z 40 zerami) sześciennych mil. To jest dopiero odosobnienie. Słońce w całym swoim ogromie nie zapełnia ani dwudziestutysięcznej trylionowej części (2 z 23 zerami) tej całej kuli.

Te cyfry pokazują nam moc Boga i zmuszają nas do podziwu dzieł Jego. Przez astronomią człowiek musi uznać siebie nędznym robaczkiem, a ziemię, mieszkanie swoje drobniuchną skorupką w wodach oceanów. A jednak, jakże często ludzie uważają sobie za wielkich i drwią sobie z Stwórcy ogromu!

Jeden z największych filozofów powiedział bardzo słusznie: »Chcesz poznać Boga i moc Jego zostań astronomem!«

Praktyczne rady.

— **Środek przeciw zaczerwienionym oczom.** Słoneczne i jasne dni wywołują często zapalenie oczu lub zaczerwienienie oprawy. Przeciw temu wynaleziono obecnie nowy środek. Zgotować jabłko, rozgnieść je, zawinąć w kawałek muślinu i ciepłe położyć na oku. W przeciągu dwu godzin zapalenie ustąpi.

— **Środek przeciw czkawce.** Napić się 10—15 razy wody nie zaczerpując oddechu, zatkawszy sobie oba uszy. Albo wziąć soli, położyć na środek języka, niech się rozpuści.

— **Środek przeciw żółtej bieliźnie.** Dać do wody z farbą albo do krochmalu mięszaninę złożoną z trzech części to jest dwóch części mocnego spirytusu a jednej części olejku terpentynowego, a to na jeden kubeł wody dwie pełne łyżki tej mięszaniny. Olejek terpentynowy nie szkodzi bieliźnie, a ma własność bielenia lepiej niż osławiony klorek.

— **Przeciw odmrożeniu.** W przepisach i rozmaitych lekarstwach przeciw odmrożeniu rąk i nóg znajdujemy prawie zawsze smalec świński a skuteczność tychże zdaje się zależeć od mniejszej lub większej ilości smalcu. Pewna osoba dzieli się z nami swem doświadczeniem w tej mierze, które zdaje się potwierdzać te nasze przypuszczenia. »Ma-

jąc odmrożone nogi, które niekiedy sprawiały mi silny ból, radzono mi moczyć je w gorącej wodzie, w której przed chwilą parzono zabitego wieprza; usłuchałem tej rady i zaraz po pierwszem wymoczeniu uczułem wielką ulgę.« Pewien znakomity doktór radzi nacierać odmrożone członki świńską żółcią. Przechowuje się ją zaś następującym sposobem. Zasuszyć ją w pęcherzu żółciowym, związawszy go mocno poprzednio; przed użyciem zaś namoczyć w ciepłej wodzie i nacierać zbolałe miejsca. Środek ten ma być nadzwyczaj skuteczny.

— **Czyszczenie grzebieni.** Kawałek waty zamaczać w benzynie, trzeć nią zęby grzebieniowe, odmieniając, dopókąd ma brudny kolor.

— **Czyszczenie złotych łańcuszków.** Włożyć łańcuszek do flaszeczki, w której jest ciepła woda, trochę mydła i proszku wapiennego, potrząsać dobrze kilka razy, wreszcie wyjąć, wypłukać w czystej wodzie i wysuszyć.

Rozmaitości.

* **Ciekawy sposób nadawania imion dzieciom** Indowie nadają dziecku imię, jak ma dni dwanaście; wybiera je zwykle matka. Czasami ojciec nie podziela jej wyboru. Natenczas stawiają dwie lampy na napisane nazwisko, a nad którem światło jaśniej się pali, to zostaje obranem. Egipcyanie obierają dla dziecka imię w ten sposób, że zapalają trzy woskowe świece i każdej nadają imię jakiejś osobistości do godności bóztwa wyniesionej. Która świeca najdłużej się pali, ta nadaje dziecku imię. Mahometanie piszą imiona na pięciu skrawkach papieru, jakie wkładają do koranu i wybierają te, które naprzód wyciągnęli Dzieciom Ainosów, ludu żyjącego w północnej Japoni, nadają imię, jak mają lat pięć; wtenczas ojciec dziecku imię wybiera. Chińczycy dodają chłopcom imię do nazwiska i to noszą do lat dwudziestu; wtenczas ojciec nadaje swemu synowi nowe imię. Koreańczycy tak mało dbają o dziewczynki, że wielu im imion nie nadaje wcale; nazywają je: numer pierwszy, drugi, trzeci itd., stósownie do porządku przychodzenia na świat. Do tego stopnia dziewczynki są upośledzone, że ojciec syna i córki, zapytany, ile ma dzieci, odpowie: Tylko jedno. Najlepiej robią Japończycy; ci cztery razy dzieciom swym imię zamieniają.

* **Nogi nasze.** Przyszły los nóg naszych wzbudza głębokie obawy w profesorze uniwersytetu genewskiego, Emilu Yung. Przewiduje on z ubolewaniem, że za jakie tysiąc lat ludzkość utraci władzę w nogach i że będą one próżną ozdobą. Albowiem ludzie coraz bardziej odzwyczajają się od chodzenia, jakkolwiek jest ono głównem ćwiczeniem fizycznem. Para, elektryczność, welocypedy zmieniły najzupełniej widok w Szwajcaryi, gdzie nikt już prawie nie używa naturalnych środków poruszania się z miejsca na miejsce, każdy używa do wędrówki rozmaitych sposobów, z wyjątkiem własnych nóg. Przyszłe pokolenia — zdaniem p. Yunga — będą miały balony, które kierowane dowolnie, czekać będą na pasażerów przed oknami ich mieszkań, a powozy elektryczne, szybkie jak błyskawica, zastąpią obecne powolne dorożki. Zaś i balony i powozy będą tak tanie, że każdy mieć będzie własny pojazd. Wówczas nogi nasze, jako zbyteczne, staną się słabe, skurczą się i w końcu znikną zupełnie. Natomiast ręce wzrastać będą w siłę i długość. Szczęście, że p. Yung daje jeszcze tysiąc lat czasu, zanim świat zaludni to pokolenie beznogie o rękach goryla.

* **Nad połączeniem telegraficznem** stacyi kolejowych z pociągami w biegu będącymi pracowali już najznakomitsi uczeni, i to z niejakim skutkiem, ale wszystkich przewyższył Francuz Etienne. Wynalazek jego został już praktycznie wypróbowany przez francuskich inżenierów i okazał się podobno znakomitym. Przy próbach tych chodziło o wykonanie czterech zadań: 1) o połączenie pociągu jadącego ze stacyą kolejową; 2) o umożliwienie wymiany depesz między dwoma pociągami; 3) o przesłanie w biegu będącemu pociągowi rozkazu telegraficznego, aby stanął i cofnął się do stacyi, z której wyjechał, i 4) o porozumienie się dwóch na siebie jadących pociągów celem zapobieżenia zderzenia się, które w innym razie byłoby nieuniknionem. Wynik prób tych zdolen zreformować zupełnie wszystkie przepisy ostróżności, jakie dotąd w służbie kolejowej przestrzegano. Już ostatniej zimy robiono podobne próby w Austryi, gdzie chodziło o zawiadomienie stacyi kolejowych z jakiegobądź punktu drogi na przypadek, gdyby pociąg doznał jakiej przerwy w jeździe bądź to przez śnieżne zawieje, bądź też przez uszkodzenie wagonów. W podobny sposób zaprowadzono także w ostatnim czasie pewien sposób porozumiewania się telegraficznie nadbrzeżnych latarni morskich z przejeżdżającymi okrętami. Wszystko to może się przyczynić do usunięcia lub przynajmniej zmniejszenia niebezpieczeństwa grożącego jadącym na morzu i na lądzie, a spodziewać się należy, że systemy porozumiewania się za pomocą drutu telegraficznego doznają jeszcze wielkiego udoskonalenia.

* **Przysmaki koreańskie.** Na Korei, o którą toczy się obecna wojna chińsko-japońska, obowiązują smakoszów miejscowych dziwne zaiste »potrawy«. Należy do nich najpierw mięso wołowe, gotowane z pieprzem i olejem rycynowym, nieświeże ryby, posypane tabaką, a wrzeszcie jako korona wszystkiego — zupa z psiego mięsa. Psy są też na Korei bardzo drogie. Żywe sprzedawane są na wagę po 1,20 m. za funt. Najmilszem darem, jaki król może uczynić swemu mandarynowi państwa, jest młody piesek na zupkę!

* **Muzeum brytańskie** w Londynie pozyskało niedawno jedyny w swoim rodzaju zabytek. Jest to staro-asyryjski ciężar wagowy. Zrobiony z zielonego dyorytu, ma on cztery cale wysokości, głów

kę zaokrągloną a spód płaski. Ciężar ten wagowy pochodzi z czasów Nebukadnezara II (Nabuchodonozor), z roku 605 przed Chr. Babiloński napis, zawarty w dziesięciu wierszach, świadczy, iż ma to być dokładna kopia wag uznanych przez państwo. O ile się zdaje, były dwojakie wagi w Babylonie: jedna ogólna, zwana »Maną królewską«, druga zaś, specyalna, używana szczególnej do ważenia srebra. Warto tu przypomnieć, iż i Biblia wspomina, jako Abraham odważył Efronowi 406 szekelów.

* **Wpływ małżeństwa na długość życia.** Pewien Francuz ogłosił w tych dniach rezultat swych badań w sprawie, jaki wpływ wywiera małżeństwo na długość życia ludzkiego. Studya swe oparł na badaniach, przeprowadzonych we Francyi, w Holandyi i Belgii, a ogłoszone rezultaty są do tego stopnia zdumiewające, iż mogłyby snadnie wzbudzić powątpiewanie wśród niedowiarków, gdyby nie ogłaszał takowych uczony sumienny. Według jego twierdzenia z mężczyzn, żonatych między 25—30 rokiem życia, zmiera sześciu na tysiąc Natomiast wśród kawalerów umiera dziesiąty procent, z wdowców dwudziesty drugi. — W dobie życiowej między 30—55 rokiem odnośne procenty śmiertelności wynoszą 7, 11, 19 na tysiąc. Podobna różnica na korzyść żonatych objawia się u ludzi w późniejszym wieku, przyczem zauważyć należy, że znaczniejszy procent śmiertelności przypada na wdowców aniżeli na bezżennych. Z drugiej znów strony ludzie żeniący się zbyt młodo, między 18—20 rokiem życia, umierają w tym samym stosunku, co starcy od lat 65—70. Kobietom nie służy tak małżeństwo jak mężczyznom. Z niezamężnych zmiera jedenasty procent między 30 a 35 rokiem życia, podczas gdy z zamężnych w tym wieku zmiera procent dziewiąty. Poniżej 25-go roku życia liczba wypadków śmierci u mężatek jest większa aniżeli u niezamężnych, natomiast po roku czterdziestym mężatki umierają rzadziej od panien. Młodzieniec żeniący się w dwudziestympiątym roku życia, może się spodziewać przeciętnego wieku, to jest 65 roku życia, podczas gdy kawaler samowolnie skraca sobie życie o lat pięć, gdyż zmiera przeciętnie już w 60 roku życia.

* **Topliwość drzewa.** Francuskiemu chemikowi i elektrotechnikowi Bizonardowi miało się udać odkryć po długich i kosztownych próbach pewien sposób mechanicznego postępowania, przy którem można drzewo stopić i wylewać w formy, zupełnie tak samo jak metale, topiące się w pewnej temperaturze. Wyrobione w ten sposób na próby przedmioty — w pierwszym rzędzie czcionki drukarskie — nie podlegają żadnym zmianom pod wpływem ciepła, zimna lub wilgoci, nawet zachowują się nadzwyczaj opornie wobec ognia, przyjmują z łatwością różne farby i nie zmieniają się pod działaniem ługów, kwasów, tudzież terpentyny. Znaczenie tego odkrycia dla przemysłu jest niezawodnie wielkiej doniosłości; zapewne niejedna gałąź produkcyi wytworczej ulegnie zmianie, niejedno też nowe pole otworzy się dla ludzkiej działalności. Godzi się jeszcze zauważyć, że wszelkiego rodzaju drzewa mają się dawać topić i jednakowo są przydatne na wyroby lane, gdyż w masie powstałej po stopieniu znikają wszelkie cechy, które rozróżniają w naturze rodzaje drzew między sobą, i owszem jest to masa zupełnie jednakowej budowy chemicznej i fizycznej.

* **Dziwne przepisy etykiety.** W Holandyi dama wchodząca do składu lub restauracyi, w której się mężczyźni znajdują, powinna się zaraz cofnąć. Musi poczekać, aż mężczyźni załatwili swój interes i odeszli.

W Hiszpanii damy rzadko wstają, aby przywitać gościa płci męzkiej, i rzadko mu towarzyszą do drzwi, gdy odchodzi. Przekroczyłby przepisy etykiety Hiszpan, którby podał damie ramię, chociażdy własnej żonie.

Żaden Turczyn nie wnijdzie do pokoju z powalanymi trzewikami. Wyższe klasy noszą ciasne trzewiki, a na nich galosze, które pozostawiają przed drzwiami, gdy wchodzą do domu. Turczyn nie będzie się mył w brudnej wodzie; na ręce każe sobie nalewać wodę, aby mogła, zbrudziwszy się, ściekać natychmiast.

W Syryi ludzie nigdy nie zdejmują kapeluszy lub turbanów, gdy wchodzą do domu lub odwiedzają przyjaciela, lecz zawsze pozostawiają trzewiki przed drzwiami. Przed drzwiami nie ma mat do oszyszczania trzewików, a wewnątrz są podłogi pokryte kosztownymi kobiercami, bardzo czysto utrzymywanymi w domach muzułmanów, którzy klęczą na nich, gdy się modlą.

W Persyi gdy jeden chce drugiego odwiedzać, to posyła uwiadomienie godzinę lub dwie przed przybyciem, a czasem i cały dzień naprzód, jeżeli odwiedziny są bardzo ważnemi. Służący wychodzą naprzeciw niemu, gdy się przybliża do domu, i czynią mu jeszcze inne honory odnośnie do stanowiska, jakie zajmuje. Lewa a nie prawa strona jest uważana za miejsce honorowe.

W Szwecyi odzywając się do najuboższej osoby na ulicy, trzeba zdjąć kapelusz. To samo trzeba uczynić, gdy się spotyka damę na schodach. Za niegrzecznego bywa uważany ten, kto wchodzi do czytelni lub składu z kapeluszem na głowie.

ŻARTY.

Straszliwe niebezpieczeństwo.

— Nie farbuj włosów, to niebezpiecznie.

— Niebezpiecznie?

— Tak jest. Stryj mój przed rokiem zaczął sobie farbować włosy, a pół roku temu już się ożenił z wdową z czworgiem dzieci.

W sekrecie.

Pewna kobieta powierzyła drugiej jakąś tajemnicę i dodała:

— Ale proszę was, milczcie o tem, aby się tego nikt nie dowiedział!

— Bądźcie spokojni, kumoszko, będę milczała jak wy.

W sądzie.

— Jak się nazywacie?

— Wojciech Kogut.

— Żonaty?

— A jużci żeniaty!
— Karany?
— Adyć karany.
— Kiedy i za co?
— Jak się człek czasem napije, to zaraz ma karę od żony.
— No, to przecież nie kryminalna kara?
— Jużci co nie, prześwietny sądzie, nie kryminałem, ale kociubą lub miotłą.

U kupca.

Kupiec: Czego chcesz, mały?
Chłopiec: 1¼ funta kawy po 1,60 m., 1½ funta herbaty po 4,50 m., funt cukru po 29 fen., ½ funta migdałów po 50 fen. i 2 funty rodzynków po 70 fenygów. Niech mi pan to wszystko spisze, abym wiedział, ile to będzie kosztowało.
Kupiec: Masz, już spisane. Ale dokądże z tem idziesz?
Chłopiec: Do domu, bo ja tego wcale nie chciałem kupić, tylko mi takie zadali w szkole rachunki, a ja tego sam nie mogłem wyrachować.

Porada bezpłatna.

— Ach doktorze, dobrze, że cię spotykam.... Poradź mi co na katar.
— Noś pan chustkę do nosa.
— Czy wystarczy?
— Jak nie wystarczy jedna, noś pan dwie.

Przysłowia i zdania.

Złoto próbuje się w ogniu, oś na grudzie, koń po nocy, a człowiek w biedzie.

Siedlisko pychy, tej śmiertelnej choroby duszy, znajduje się w głowie, a lekarstwo na nią w sercu.

U skąpego zawsze po obiedzie.

Pochlebstwo jest zniewagą, bo komu pochlebiamy, tego zwieść chcemy.

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu

poleca co dopiero wydaną, bardzo piękną książkę pod tytułem:

Z niwy ślązkiej.

Wiersze Czesława Lubińskiego.

2 tomy po 160 str. w jednej książce.

Cena za egz. nieoprawny .... 1,00 m.
„ „ „ oprawny ..... 1,50 „
„ „ „ eleg. oprawny w płótno 1,80 „

Na portoryum prosimy dołączyć 20 fen.

Każdy Polak na Szląsku powinien tę książkę posiadać!

Za nadesłaniem należytości w znaczkach pocztowych przesyła odwrotnie

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Z POBYTU W BOŚNI.

WRAŻENIA, OBRAZKI I SZKICE

skreśliła

Marya z Seredyńskich Jakubowska.

Zawiera następujące utwory: Kartki z Bośni. — Bośniaccy Pacyenci. — Paszuma. — Czoban z Lopary. — Słowik z trześniowego lasku. — O sznur dukatów. — Mara.

Cena 70 fen., z przesyłką **80 fen.**

Należytość należy przesyłać w liście naprzód w znaczkach pocztowych. — Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

„KATOLIK“

KALENDARZ DLA WSZYSTKICH NA ROK 1895

już wyszedł z druku i obejmuje kalendaryum na cały rok, jarmarki, śliczne powieści i opowiadania z obrazkami, oraz wiersze, wiele wiadomości z prawa, jako to: **Najważniejsze przepisy nowego prawa, tyczącego się podatków komunalnych (ważnego od 1-go Kwietnia 1895 r.),** wiele rozmaitości, fraszek i kilkanaście rycin. Nadto zawiera dwa bezpłatne dodatki: 1) **prześliczny kolorowy obraz** i 2) **kalendarz ścienny.**

Zwracamy przedewszystkiem uwagę na zawarty w kalendarzu artykuł: „Na 300 rocznicę kanonizacy. św. Jacka“ i wiersz: „Paciorki św. Jacka w Rozbarku pod Bytomiem“ do czego dodaliśmy 6 obrazków.

Cena 50 fenygów, z przesyłką **60 fen.**

Kto nadeśle 5,25 mrk. naprzód, otrzyma na 10 kalendarzy jeden darmo. — Zachęcamy niniejszem do nabywania kalendarza „Katolika,“ którego można w księgarni, u pp. agentów i wprost z ekspedycyi „Katolika“ nabyć. Sprzedawającym stósowny rabat. — Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.